

MOC I SIŁA LUDZI CHORYCH

Z punktu widzenia sztuki życia fakt choroby sytuuje nas w obliczu jednego z najtrudniejszych zadań. Zwłaszcza wtedy, gdy mamy do czynienia z długą i ciężką chorobą albo z inwalidztwem, które wyrwa nas z grupy i powoduje izolację. Z dnia na dzień człowiek chory odnajduje siebie po drugiej stronie granicy, przestając liczyć na pozytywne rozwiązanie. Z początku nie jest to takie trudne. Chory ma więcej odwagi niż przypuszczano, a otoczenie, wstrząśnięte chorobą, śpieszy z pomocą, przynosząc koszyki pełne wiktuałów, wiązanki kwiatów lub wysyłając kartki z życzeniami, szczególnie okazałe. Wszystko to ma zasugerować, że pobyt w szpitalu będzie tylko nową, miłą przygodą.

Potem jednak następuje okres zapadania się w niepamięć. Koledzy, przyjaciele i znajomi siłą się jeszcze na litość, która nie ma już nic ze współczucia; pozostają przy chorym tylko najwierniejsi i najbliżsi, podtrzymywani (lub nie) przez różnych doradców zawodowych (sam oświadczyłem, że jestem przygotowany na śmierć i że nie chciałbym umierać pod opieką „zawodowców”).

Ostatecznie więc człowiek chory czuje się osamotniony, całkowicie samotny w obliczu sensu istnienia, gdyż nie-istnienie nie ma żadnego sensu dla świata. I wtedy właśnie może się pojawić wielka pokusa celebrowania swojej choroby, albo nawet posługiwania się nią jako środkiem tyranizowania najbliższego otoczenia. Bądź też — popadając w drugą skrajność — człowiek może ulec pokusie samoopuszczenia, całkowitej rezygnacji oraz — na skutek faktycznej izolacji — rozpaczy prowadzącej do domagania się eutanazji (jest to próba pozostania mimo wszystko panem siebie, będąca wynikiem desperacji połączonej z fałszywym poczuciem własnej godności). Do takiej zresztą postawy zachęcają chorego o wiele częściej inni aniżeli on sam siebie. W każdym razie gwarantuje ona choremu większą uwagę świata zewnętrznego. Ten ostatni, pełen zewnętrznego szacunku, śpieszy z pomocą: uroczyście obwieszcza, że jest zwolennikiem prawa stanowienia o sobie i rozgrywa w ten sposób walkę o skonkretyzowanie swych rzekomo humanitarnych uczuć w formie tworzenia klinik specjalistycznych. Ci, którzy tego pragną, byliby wówczas otoczeni opieką fachową i wszelką niezbędną pomocą aż do wydania ostatniego tchnienia w chwili przez siebie wybranej.

Traktuje się to wszystko jako *summum* godnej śmierci. Ta

dobrowolnie wybierana, dumna śmierć wydaje się w gruncie rzeczy bardziej godna niż poniżające poddawanie się długiemu opuszczeniu w przymusowej agonii.

Istotna kwestia sprowadza się jednak do pytania: jak się człowiek poddaje? i czym jest to opuszczenie? Czy śmierć Syna Człowieczego była opuszczeniem? W oczach świata z pewnością „nie miał on wdzięku ani też blasku, aby na niego popatrzeć, ani wyglądu, by się nam podobał. Wzgardzony i odepchnięty przez ludzi, mąż boleści, oswojony z cierpieniem, jak ktoś, przed kim się twarze zakrywa, wzgardzony tak, iż mieliśmy go za nic” (Iz 53, 2-3). Czy poddał się śmierci bez oporu? W oczach świata tak. „Ej, ty, który burzysz przybytek i w trzech dniach go odbudowujesz, zejźdź z krzyża i ocal samego siebie” (Mk 15, 29-30).

Wśród tego pomieszania, w jakim ten świat zdechrystianizowany przenika lęk i trwoga, wstyd i rozpacz na widok opuszczenia ludzkiego, nie mającego — jak się wydaje — sensu w razie choroby i śmierci, Jan Paweł II oparł wyraźnie swój pontyfikat na cierpieniu ludzi chorych. Na wzór Jezusa czyni z ich niemocy siłę Kościoła, a tym samym przywraca raz na zawsze chorym ich godność i przyznaje im miejsce, jakie im się należy: „Moja siła pochodzi od Chrystusa — przez was”. On, który zna utrapienia i niedole naszych czasów oraz wie, jak bardzo — niezależnie od gigantycznej organizacji zdrowia publicznego — chorzy są faktycznie lekceważeni i opuszczeni, powierza kapłaństwo następcy św. Piotra ich doświadczeniom i nędzy. Czyniąc to, otwiera nam oczy na godność i powołanie chorych i cierpiących, im zaś okazuje miłość, przywraca ufność i nadzieję oraz szacunek dla samych siebie, co umożliwia im znosić cierpliwie to, co było nie do zniesienia, i co przeobraża cierpienie w radość.

Początkowo można było uważać to wszystko za gest pobożny i nic więcej. Jednak w czasach, gdy wolność indywidualna, autonomia i potrzeba wyczynów nabrały istotnego znaczenia, uświadamia się coraz to mocniej opuszczenie związane z chorobą, będące niejako odblaskiem cierpienia i śmierci Chrystusa w osamotnieniu: „Boże mój, Boże, czemuś Mnie opuścił?” — i rozumie się lepiej, że chodzi tu właśnie o tę jedyną postawę wyzwolielską. O ten jedyny gest mogący ukazać choremu sens i uwieńczenie jego egzystencji. Choroba, która zdawała się skazywać nas na bytowanie bezużyteczne, bo doprowadzone do niemocy, staje się — dzięki temu słowu zachęty — siłą natchnioną przez miłość życia, a chory — źródłem natchnienia dla swego otoczenia. Jest też możliwe, że osoba dotknięta chorobą nieuleczalną nie ma już do spełnienia żadnej roli w społeczeństwie i nie może liczyć na uznanie, jakie zapewniała jej dawna pozycja społeczna. Tymczasem

zjawia się na to miejsce coś zgoła innego: obraz bytu ludzkiego — jakikolwiek by on był — który staje sam wobec swego Stwórcy i nie może się uciec do żadnej sztuczki, do żadnego pozoru, by zachować swą tożsamość osobową. Przyjęcie bez sprzeciwu tej mało zaszczytnej postawy sprawia, że wszyscy, którzy stają u wezglowia chorego, czują się przedziwnie zbudowani i natchnieni jego przykładem. Odchodzą pokrzepieni na duchu, z jaśniejszą wizją tego, czym jest życie.

Pamiętam chłopca 24-letniego, żywego i porywczego z natury, rosłego i dobrze zbudowanego, którego lekko ryzawa twarz była otwarta i mobilizująca. Od chwili, gdy zachorował, pozostawało mu około dwóch miesięcy życia — tak szybko niszczył go rak rozsiany w całym ciele. Podczas ostatnich tygodni bardzo cierpiał, a przecież niemal triumfował: „Nie wyobraża pan sobie — powiedział do mnie w zaufaniu — jak bardzo bałem się cierpienia, cierpienia czysto fizycznego. A obecnie, gdy mnie ono dosięgło, potrafię je znosić. Powiedziałem to swej narzeczonej i całej rodzinie: teraz widzicie na własne oczy, czym jest łaska, łaska dotykalna i uchwytna. Jeśli teraz jej nie dostrzegacie i nie rozumiecie, to chyba w całym swoim życiu nie będziecie mieli drugiej takiej okazji”. Uważał, że nic nie jest bardziej jasne i wyraziste. I tak kroczył zwycięsko ku śmierci — własnej śmierci, z Chrystusem.

Takie bezpośrednie doświadczenie Boga nie jest udziałem każdego. Wielu pójdzie jednak w tym kierunku dzięki wyraźnemu określeniu przez obecnego Papieża miejsca przynależnego chorym w łonie Wspólnoty Świętych (*Communio Sanctorum*), a także w społeczności świeckiej. Papież bowiem wielokrotnie daje do zrozumienia, nam oraz samym chorym, jaki jest sens i znaczenie tego, co muszą chorzy znosić.

Niemniej, w naszych domach i szpitalach wielu jest takich chorych, do których nie docierają słowa Papieża i którzy nie mają możliwości go słuchać. Kto wie, czy taki stan rzeczy nie ulegnie kiedyś zmianie dzięki ofierze i modlitwie chorych, a także dzięki pełnej szacunku trosce, jaką jesteśmy gotowi im okazywać: „Jakość społeczeństwa, cywilizacji mierzy się szacunkiem, jaki okazuje ono najsłabszym swoim członkom” (*Dokument Stolicy Apostolskiej z okazji Roku Upośledzonych*).

tłum. ks. Lucjan Balter SAC